

STYCZEŃ — MARZEC 2021

RozJazdy^{nr 3}

KWARTALNIK KOŁA TURYSTYCZNEGO

- ❖ Zdjęcie numeru s. 3
- ❖ Z Leonem i Tadeuszem dookoła świata s. 4
- ❖ Zimowy rekord s. 7
- ❖ Do Krakowa! s. 11
- ❖ Zimowa Portugalia s. 15
- ❖ Relacja z pobytu w Sudanie s. 29
- ❖ Kontrola graniczna s. 31
- ❖ Bądź turystą we własnym mieście s. 33
- ❖ Wielki Zimowy Trawers Poznania s. 39





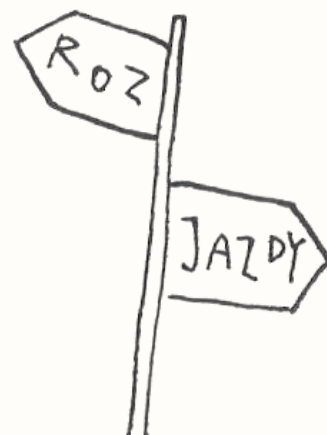
Słowo wstępu

Dziewięćdziesiąt jeden lat temu, w dniu osiemnastego lutego, swoją wyprawę dookoła świata zakończyli Tadeusz Perkitny i Leon Mroczkiewicz. Tego samego dnia, jak i z tego powodu, Koło Turystyczne obchodzi nieformalny (jak na razie) dzień patronów, a raczej obchodziłoby, gdyż początek roku 2021 nie sprzyja spotkaniom. Nie sprzyja też turystyce. Ferie dla całej Polski odbyły się w jednym terminie, hotele, stoki narciarskie i inne zimowe atrakcje były niedostępne, a idea wypraw tych krajowych, a tym bardziej zagranicznych – została wycięta w zarodku.

Ciężkie czasy, które nastąpiły, nie napawają optymizmem. Kiedy to piszę, mija już prawie rok od pojawienia się wirusa w Polsce. Trzeba się więc skupić na marzeniach, pomysłach czy wspomnieniach. Można próbować oszukać system, jak to robili rządni gór turyści w pierwszych tygodniach nowego roku, czego efektem był dość nietypowy widok kolejek na szczyty zimą! Można też szukać nowych pomysłów na rozrywkę... na przykład wybrać się bez ciepłych ubrań, przy minusowej temperaturze, na Babią Górę czy Tarnicę. Tego jednak polecić nie sposób.

Warto za to szukać wyzwań w najbliższej okolicy. I właśnie do tej opcji chciałbym zachęcić w imieniu całej redakcji „RozJazdów”. Numer trzeci skupia się głównie na działalności naszego Koła Turystycznego, a zarazem znajduje się w nim kilka pomysłów na dalsze i bliższe cele. Opisujemy „ekstremalne” poznańskie wyczyny, ale też dającą wytchnienie wycieczkę do Lizbony i okolic. Obok kontynuacji stałych pozycji wśród tekstów jest relacja z ubiegłorocznego wyjazdu Koła do Krakowa oraz kolejny dowód na to, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Nie uchylając bardziej rąbka tajemnicy, zapraszam do lektury trzeciego numeru.

Igor Stryniak





Wyjeżdżamy na drugi koniec świata. Czasem w pogoni za wyjątkowym widokiem czy ujęciem. Kanion Kolorado, wodospad Niagara, Uluru, zorze polarne i tysiące innych miejsc bijących rekordy w turystycznych rankingach.

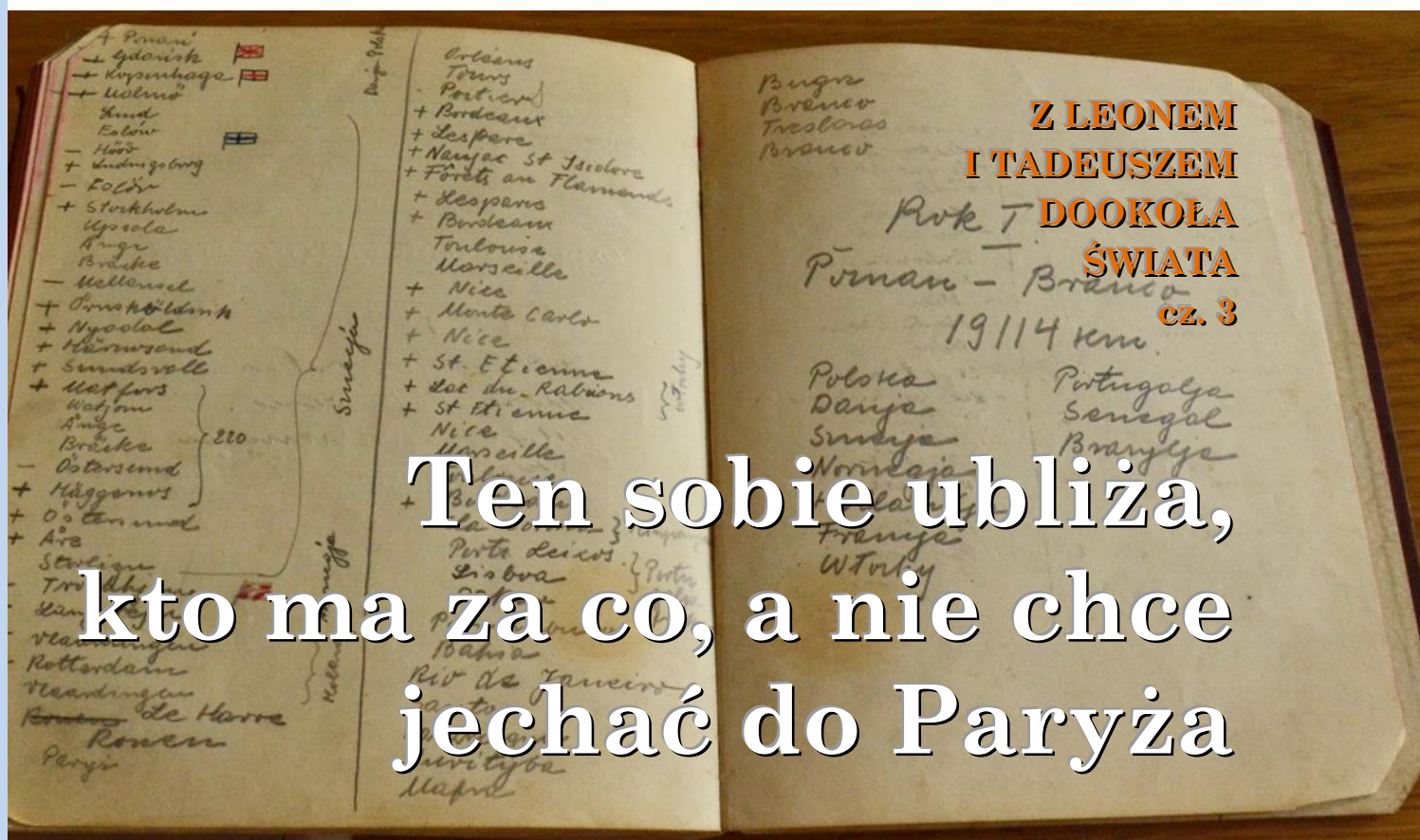
Tymczasem ciekawe i wyjątkowe krajobrazy oraz zjawiska można zaobserwować wszędzie, nawet na rzece Warcie, nawet w Poznaniu. Czy wiesz, Drogi Czytelniku, co oznacza słowo „śryż”? Tak, naprawdę istnieje takie słowo! To nieprzezroczysta, gąbczasta masa zbudowana z kryształków lodu, tworząca się na rzece — i ją właśnie udało się uchwycić na zdjęciu.

Warto więc teraz — kiedy nasze podróże nie mogą być wyprawami za ocean czy za morze, a najczęściej ograniczają się do sąsiedztwa — mieć w pamięci słowa piosenki ze starego telewizyjnego serialu: „Świat jest piękny, czy to znasz? Otwórz oczy, patrz!”. Otwórzmy oczy, żeby niczego nie przegapić.

zdjęcie: **Justyna Kędra**

tekst: **Piotr Ciesielski**

Dookoła świata! I to w wyśmienitym towarzystwie, bo razem z patronami naszego Koła Turystycznego, czyli z Leonem Mroczkiewiczem i Tadeuszem Perkitnym. Podróż, śladem której podążamy na łamach Rozjazdów, rozpoczęła się w Poznaniu w roku 1926, by zakończyć się dokładnie w tym samym miejscu 3,5 roku później. Po drodze nierozłączni Leon i Tadeusz przeżyli bezlik przygód, zyskali cały zastęp przyjaciół i dotarli w miejsca nietknięte przez cywilizację, ale też w takie, które turyści tłumnie odwiedzają do dziś. Posłuchajcie zresztą sami...



W poprzednim numerze z naszymi bohaterami rozstaliśmy się w Szwecji. Po niełatwych, ale udanych zmaganiach ze Skandynawskim rynkiem pracy Leon i Tadeusz znaleźli zatrudnienie w fabryce ścieru drzewnego. Gdy udało im się zarobić wystarczającą sumę pieniędzy, ruszyli dalej w drogę. Przecież ich celem było okrażenie globu, mimo wszystkich przeciwności, których się spodziewali.

„Taki to już los włóczęgi, że musi prędej, czy później porzucić wytworne komnaty, puchowe łoża i serca, z którymi się zbratał. Taki to już los, że sprzed przytulnego kominka musi wyjść znowu tam, skąd kiedyś przyszedł... w nawałnicę śnieżną, w orkan wyjący po lesie, w czarną otchłań życia pełną tajemnic, gróźb i zasadzek”.

Tym razem otchłań nie okazała się aż tak bardzo czarna, choć trzeba przyznać, że nie oszczędziła naszym podróżnikom dość osobliwych zasadzek. Z Półwyspu Skandynawskiego drogą morską przez Holandię Leon i Tadeusz trafiają do Francji, a tam kolejowe tory prowadzą wprost do Paryża.

Choć dzisiaj Paryż też u niejednego turysty wywołuje żywsze bicie serca, to nie sposób oprzeć się wrażeniu, że charme francuskiej stolicy sprzed stu lat był jeszcze bardziej urzekający. A wielkie miasto, o światowej sławie, potrafi onieśmielić nawet najbardziej pewnych siebie.

„Trzymając się jak ten Pat i Pataszon za ręce, wychodzimy do miasta, a przed nami, za nami i po obu bokach trąbią samochody, dzwonią tramwaje, wrzeszczą gazeciarze i na gigantycznych plakatach fika nogami Józefina Backer. Ugrzęźnąwszy na tak zwanej «wyspie», nie możemy przejść przez ulicę, nie możemy się cofnąć, nie możemy w ogóle nic, tylko stać, kłąć i czekać na to zmiłowanie boskie.

— Wyglądasz jak matka Błażejowa z Łapawic Dolnych, co pierwszy raz w życiu, z jajami przyjechała do miasta! — oświadcza Leon, choć sam łachudra jeden, pochodzi z takiej dziury jak Swarzędz i w Paryżu wygląda jak zbłąkany kmiotek.

Koło za kołem, opona za oponą, nóżka za nóżką!

Charczące megafony, trąby, trąbki, dzwony, klaksony, warkot motorów, zgrzyt skrzynek biegów, pisk hamulców! Tu wymachuje rękoma policjant. Tam kogoś chłodnicą uderzyli w pępek. Tu możesz kupić gorące kasztany, a tam jakiś uliczny artysta połyka żywe padalce!

Podmalowane oczy paryżanek świdrują atmosferę, że aż iskry lecą! Raz po raz bucha na ciebie perfumami, raz po raz kurzem, błotem, kłębamii dymu lub swędem przypalonych frytek. Niekiedy sterczy ci nad głową

jakiś sławny pomnik, niekiedy pasiasta markiza nad uliczną knajpą. A znów innym razem stoisz oko w oko z katedrą Notre Dame, wieżyczką Eiffla lub boską Józefiną jeszcze mniej ubraną niż przedtem.

Jest to Paryż końca lat dwudziestych! Paryż Mistinguette, charlestona, młodego Chevaliera i boskiej Mulatki!

Po ulicach miasta jeżdżą jeszcze tramwaje, wozy i wysokie staroświeckie fordys. Ale w tym Paryżu nikt jeszcze nie zna zielonych i czerwonych świateł. Nikt na nikogo nie zwraca uwagi, tylko wszystko, co jedzie, wali naprzód śmiało i beztrosko, a przy tym sobie dzwoni, gwizdże, klaksonuje i trąbi, ile sił mu starczy i dusza zapragnie.

Toteż ów Paryż pastwi się nad nami całkiem nowocześnie, oczy oślepią łukowymi lampami, do nosa tłoczy spalinowe gazy i tysiącem decybeli rozsadza bębenki”.

Prócz uroku miał więc też Paryż swoje wady i kto wie, czy to nie one spowodowały, że Leon i Tadeusz w dalszej podróży w wielkich metropoliach spędzali niewiele czasu. Z racji swoich naukowych i zawodowych zainteresowań bardziej ciągnęło ich ku leśnym odstępom. Nic więc dziwnego, że kolejne tygodnie we Francji upływały naszym patronom w sosnowych borach nad Atlantykiem, gdzie w pobliżu Bordeaux pracowali jako drwale. I mimo że czas pożegnania ze Starym Kontynentem zbliżał się nieubłaganie, to najpierw trzeba było jeszcze przekonać się osobiście, czy atrakcje Lazurowego Wybrzeża nie są przypadkiem przereklamowane.

Ciąg dalszy nastąpi...

tekst: **Piotr Ciesielski**

zdjęcie: **Weronika Dolata**

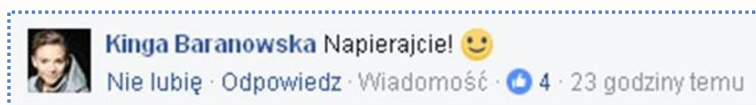
Cytowane fragmenty pochodzą z książki Tadeusza Perkitnego
Okrążmy świat raz jeszcze.

Tytuł artykułu pochodzi z utworu Juliana Ursyna Niemcewicza
Pan Nowina, czyli dom pocztowy. Komedia w 3 aktach wierszem.

ZIMOWY REKORD

Tekst jest relacją z próby bicia rekordu podczas zimowego przejścia Korony Poznania. W historycznej wyprawie, która odbyła się 27 lutego 2017 roku udział wzięło 19 osób. Kierował nią prof. Piotr Ciesielski.

Kiedy na kilka godzin przed starannie planowaną wyprawą przeczytaliśmy słowa skierowane do nas przez Kingę Baranowską (himalaistkę, która zdobyła już 9 z 14 ośmiotysięczników), wiedzieliśmy, że to musi się udać!



Cel, który postawiło sobie Koło Turystyczne, był ambitny – zimowe przejście Korony Poznania! Przynajmniej z dwóch powodów miał to być wyczyn historyczny, a czekało na nas 5 gór opisanych przez Radosława Nawrota w przewodniku *Zrób to w Poznaniu!*

Dzwon Pokoju na Cytadeli (84 m n.p.m.)



Pierwszy ze szczytów w Koronie, oddalony jest zaledwie o kilkanaście minut marszu od naszej szkoły. Wybraliśmy drogę od północnego zachodu, przez plateau pod obeliskiem (choć dyskutowaliśmy też inną drogę, którą można określić jako „wariant na szagę”) i w doskonałej kondycji i humorze stanęliśmy na wierzchołku. Rozwinęliśmy flagę szczytową, która towarzyszy nam na wszystkich górskich ekspedycjach. Zrobiliśmy zdjęcie i ruszyliśmy dalej, bo przecież próbujemy ustanowić nowy rekord!

Wzgórze św. Wojciecha (73 m n.p.m.)



Tutaj zaczęły się pierwsze kłopoty. Szczyt zdobywamy nową drogą od północy, a wystarczy przywołać Eiger czy Matterhorn, żeby wiedzieć, jak złą sławą owiane są północne ściany. Niektórzy członkowie wyprawy odczuwają też wpływ wysokości i chcą przerwać wspinaczkę pod pomnikiem Armii Poznań, który biorą za główny szczyt. Okazuje się jednak, że to tylko przedwierzchołek i czeka nas jeszcze kilkadziesiąt metrów walki. Druga góra zaliczona!

Góra Przemysła (76 m n.p.m.)

Szybko schodzimy do doliny, mijamy tętniący życiem bazar i na ul. Zamkowej zaczynamy kolejną wspinaczkę. Tym razem dają się nam we znaki nadzwyczaj strome schody, przystajemy co kilkanaście kroków i zastanawiamy się, czy nie założyć obozu. Na szczęście kryzys udaje się pokonać – meldujemy się na szczycie, po raz pierwszy spotykając innych wspinaczy. Trudny podejścia wynagradza nam piękna panorama na poznański Stary Rynek.



Masyw Kopca Wolności (98 m n.p.m.)

Ta góra była największym wyzwaniem logistycznym na etapie planowania wyprawy. Tak jak w Himalajach, trzeba było tu zdobyć pozwolenie na atakowanie szczytu. Niestety, okazało się, że główny wierzchołek od kilku lat jest zamknięty dla wypraw. Wykonujemy więc kilka telefonów i negocjujemy podejście pod wierzchołek na stoku narciarskim. W końcu dobra wiadomość! Mamy „permit” od Malta Ski i będziemy mogli wspinać się w masywie Kopca Wolności.



Góra wyrasta przed nami podczas wędrowki brzegiem jeziora i z radością zauważamy, że pokryta jest śniegiem i lodem! Wyciągamy więc raki i czekany, licząc na solidną lodową wspinaczkę. Nasze nadzieje rozwiane zostają jednak po spotkaniu z oficerem łącznikowym, panem Pawłem Cielewiczem. Lodospad jest na tyle niebezpieczny, że na szczyt wjedziemy... wyciągiem krzeselkowym! Podziwiając widoki, zdobywamy czwartą górę Korony.



Góra Moraska (154 m n.p.m.)

Królowa wśród koronnych gór, najwyższa w Poznaniu, jedyna przekraczająca 100 metrów ponad poziom morza. Jest to wierzchołek dobrze nam znany, ponieważ w 2015 roku dokonaliśmy pierwszego w historii Koła zimowego wejścia. Wiemy, że czeka nas tu tylko jedna pułapka: „czy to już tutaj należy skrócić w lewo w las?”. Mimo zmęczenia jesteśmy uważni i po kilkunastu minutach stajemy przed kopułą szczytową. Ostatnia wspinaczka, ostatnie metry i podnosimy ręce wysoko do góry. Udało się! Korona Poznania skompletowana! A na dole czeka nas już nagroda – pyszna pizza:)



W czasie wyprawy dokonaliśmy drugiego wejścia zimowego (autorami pierwszego z 2010 roku są harcerze z 11 PDH „Tajga”) oraz pierwszego w historii zimowego zdobycia Korony przez kobiety. Ponadto ustanowiliśmy nowy fantastyczny rekord, zdobywając wszystkie szczyty w 3 godziny i 44 minuty (pierwsza wyprawa trwała około 7 godzin).

W skład ekspedycji weszło 18 alpinistów i operator filmowy. Szczególnie chcielibyśmy podziękować Radosławowi Nawrotowi za wymyślenie Korony Poznania, Kindze Baranowskiej za motywację, kierownikowi pierwszej wyprawy Marcinowi Grabowskiemu za cenne wskazówki oraz Pawłowi Cielewiczowi z Malta Ski za pomoc w zdobyciu wierzchołka.

tekst i zdjęcia z kroniki KT

Do Krakowa! Relacja z wyjazdu

[9–10 października 2020 roku]

C ała wyprawa rozpoczęła się niezbyt obiecująco, ponieważ zebrałiśmy się, kiedy było jeszcze ciemno, w deszczu, autokar spóźnił się i nie było wcale najcieplej. Krótkie przedstawianie na schodach budynku UAM przy placu Mickiewicza: „Klasy pierwsze, drugie, trzecie, kto jedzie po raz pierwszy, kto pięćdziesiąty, absolwenci, opiekunowie” – i już zjechał autokar. Poznań opuszczaliśmy w strugach deszczu spływających po szybach, chwilę po godzinie szóstej. (Tutaj warto napomknąć, że „z okazji” COVID-19, Koło Turystyczne po raz pierwszy zaznawało luksusów wycieczki wynajętym autokarem).

Z każdym kilometrem przebytym w kierunku Ojcowa, rozpogadzało się coraz bardziej, niebo się rozjaśniało, a finalnie otrzymaliśmy radosne wrześnie słońeczko obiecujące bardzo przyjemne zwiedzanie. Po drodze zatrzymaliśmy się na chwilę i wtedy odbył się „drop” koszulek i „buffów” Koła Turystycznego, które miały nam pomóc godnie zaprezentować się na odsłonięciu tablicy patronów naszego Koła następnego dnia. Wsiedliśmy znów do autokaru i po około godzinnej jeździe znaleźliśmy się na miejscu, czyli pod zamkiem w Ojcowie. Tam spotkaliśmy się z panią przewodnik, która oprowadziła nas wokół samego zamku, dotarliśmy pod Maczugę Herkulesa i mogliśmy podziwiać dość nietypowy krajobraz Jury Krakowsko-Częstochowskiej w jesiennej scenerii. Pomijając walory samego zamku, i bez niego krajobraz był przepiękny, bo skąpane w słońcu wzgórza porośnięte kolorowymi lasami są jak kwintesencja polskiej jesieni. Pamiątkowe zdjęcie zostało wykonane na zboczu pod samym zamkiem i poszliśmy dalej.

Kolejnym punktem wycieczki miał być szlak o górskim charakterze, ale spacer, na który się później wybraliśmy, został nieoficjalnie nazwany „wycieczką dla emerytów”. Na szczęście sceneria była przepiękna i absolutnie jesienna. Szliśmy cały czas asfaltową drogą, a naokoło rozciągały się skałki krasowe, dość wysokie góry i czerwono-żółto-pomarańczowe drzewa. Odwiedziliśmy małą jaskinię, o której pani przewodnik opowiedziała nam parę ciekawostek związanych z realizowaniem tu zdjęć do filmu „Ogniem i mieczem”. Minęliśmy też po drodze hodowlę pstrągów i tablicę informacyjną o nietoperzach.





Później, kiedy już każdy z nas zgłodniał, odwiedziliśmy „Piwnicę pod nietoperzem” w Ojcowie, która nie była piwnicą, tylko miejscem, gdzie mieliśmy zjeść obiad. Potem zapakowaliśmy się do autokaru i pojechaliśmy do Krakowa, a dokładniej do Szkolnego Schroniska Młodzieżowego przy ul. Grochowej. Zakwaterowaliśmy się zgodnie ze wszystkimi wymogami sanitarnymi i był to już czas na wyprawę do miasta. Poszliśmy na przystanek tramwajowy i prawdziwym krakowskim, niebieskim tramwajem dojechaliśmy do centrum. Miała nas po nim oprowadzić Ola, przewodniczka miejska po Krakowie, która okazała się rodowitą poznanianką. W bardzo ciekawy sposób, pod hasłem „zarazy”, zostaliśmy oprowadzeni po płycie Rynku Głównego i innych ważnych punktach wokół. Kraków zwiedzaliśmy już po zmroku. Pod koniec miejskiego spaceru większa część naszej wycieczki słaniała się już na nogach i przysiadła na barierkach. Wróciliśmy do schroniska tak samo, niebieskim krakowskim tramwajem, i wszyscy polegaliśmy w objęciach Morfeusza (no, prawie wszyscy) :)

Z dnia 9 na 10 października cała Polska objęta została „strefą żółtą”, więc kolejny dzień zwiedzania rozpoczęliśmy od złożenia maseczek. Wyruszyliśmy z rana, piechotą na Kopiec Kraka, obserwując mgły podnoszące się znad miasta. Dzień był słoneczny i naprawdę ciepły. Kiedy doszliśmy na Kopiec, panorama Krakowa była już odsłonięta w całej krasie. Poranek był przepiękny, więc spędziliśmy tam parędziesiąt minut. Po obejściu całego wzgórza, tak samo spacerkiem wróciliśmy na Grochową, gdzie czekał na nas autokar. Stamtąd udaliśmy się do Alei Podróżników, Odkrywców i Zdobywców na uroczystość odsłonięcia tablic patronów Koła.

Uroczystość była dość spora, odsłaniano kilka tablic pamiątkowych. Aleja założona została w 2017 roku, a Leon Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny znaleźli się w tak zacnym towarzystwie, jak: Paweł Edmund Strzelecki, Jerzy Kukuczka, Marek Kamiński, Arkady Fiedler, Henryk Arctowski i Ernest Malinowski. Tam właśnie godnie reprezentowaliśmy Koło w T-shirtach z logiem KT. Cała uroczystość trwała około godziny, a po niej poszliśmy na obiad do krakowskiego AWF. Przeszliśmy przez całkiem spory park i z powrotem do autokaru. Ale wycieczka się nie kończyła, mieliśmy dla siebie jeszcze parę godzin podróży do Poznania, podczas których „grana była” spora liczba gier. Niestety, trzeba to było przerwać o 21.00 na placu Mickiewicza. Wróciliśmy do punktu początkowego, skąd można by rozpocząć kolejną wycieczki...

tekst: **Kamila Lefler**

zdjęcia: **Weronika Dolata**

Mżawka, mandarynki, 7 wzgórz i ocean, czyli zimowa Portugalia



Rok 2020 dla wielu ludzi na świecie (w szczególności mam na myśli Chińczyków) nie rozpoczął się zbyt dobrze i generalnie zbyt dobrze nie przebiegł – plany wypoczynkowe miażdżącej większości nas wszystkich spełzły na niczym. Ja jednak znalazłam się w tej grupie szczęśliwców, którym udało się na chwilę opuścić nasz kraj, zanim nam wszystkim zakazano opuszczać domy.

Admissão / WSTĘP

Przygotowania

Pomysł na udanie się do Portugalii w ferie należał do mojego taty i został zrealizowany raczej dość spontanicznie. W październiku poprzedniego roku sprawdził on terminy i ceny lotów z Berlina (bo stamtąd najtaniej, jego prawdziwie poznański umysł nie mógł więc podjąć innej decyzji), zapytał mamę i nas, dzieci (to znaczy pięć córek), czy chcemy lecieć. I otrzymał odpowiedź twierdzącą. Zakupił więc bilety na 30 stycznia.

Od października do końca stycznia jest jednak trochę czasu, prawda? Mógłby ktoś pomyśleć: gdzie tu ta spontaniczność? Otóż muszę Cię uświadomić, Drogi Czytelniku, że w mojej rodzinie nic nigdy nie dzieje się zgodnie z wcześniej ustalonym planem. I tu może chodzić o cokolwiek: od zakupów, przez odwiedziny u babci, aż po lot na drugi koniec kontynentu. Tak samo

było również w tym przypadku. Fakt, że od października do stycznia czasu jest sporo, absolutnie nie zadziałał na naszą korzyść. Przez to, że bilety zostały zakupione z takim wyprzedzeniem, wizja ferii w Portugalii wydawała się nam wszystkim dość mglista. I tak zostało przez całe te pięć miesięcy, aż nagle w połowie stycznia mgła się rozwiła i stanęliśmy przed miażdżącą świadomością, że nasz lot ma miejsce za dwa tygodnie, a my wszyscy jesteśmy w przysłowiowym prozku.

Cóż to był za pośpiech, cóż to był za bieg! Tata szukał miejsca zakwaterowania i możliwości wynajęcia samochodu na miejscu, mama kontaktowała się z rodziną w Berlinie, żeby wynegocjować możliwość zostawienia u nich naszego samochodu na czas wyjazdu, ja pisałam listy zakupów oraz rzeczy, które trzeba ze sobą zabrać, a moje siostry zajmowały się ich kompletowaniem. I tak oto zakończyliśmy przygotowania do wyjazdu dokładnie w jego dniu, o godzinie 5.30, mając:

- zarezerwowane dwa pokoje w wysoko ocenianym przez użytkowników witryny booking.com („audycja” nie zawiera lokowania produktu, ta informacja przyda nam się w tej historii trochę później) hostelu położonym w pobliżu strategicznych punktów (3 minuty na stację metra!) i siedmioosobowego seata Alhambra,

- zgodę kuzynki mamy na przechowanie naszego samochodu podczas naszej nieobecności,

- siedem toreb wypełnionych niezbędnymi rzeczami oraz nadzieję, że nie przekroczą wymagań dotyczących rozmiaru bagażu podręcznego.

Opuściliśmy mieszkanie o godzinie 5.37.

Samolot

Jako że jesteśmy dużą rodziną, przez większość mojego życia nasz budżet był dość silnie ograniczony. Nie było nas stać na wielkie ekspansje, dlatego ten wyjazd był moim drugim w życiu rodzinnym wyjazdem za granicę. Był też pierwszym, podczas którego miałam lecieć samolotem. To było moje duże marzenie, czekałam więc na ten moment z wielką niecierpliwością.

Lotnisko w Berlinie robi wrażenie. Wygląda bardziej solidnie niż ładnie, jest duże i dobrze zorganizowane, odpowiada więc stereotypowym wyobrażeniom przeciętnego Polaka o przeciętnym Niemcu. Pierwszym, co zrobiliśmy po odnalezieniu naszego terminala, było oczywiście sprawdzenie, czy nasze bagaże są w odpowiednim rozmiarze – za pomocą specjalnego stojaka do tego przeznaczonego. Kiedy pozbyliśmy się już stresu, ustawiliśmy się w kolejce do odprawy.



Czekanie na samolot było dziwnym doświadczeniem. Czułam się spokojna, ale gdzieś głęboko we mnie powoli wzrastała ekscytacja. Kiedy nadszedł czas otwarcia naszej bramki, szłam przez długie korytarze jak w transie. Jedno pomieszczenie, drugie, trzecie. Kontrola kart pokładowych, autobus podwożący podróżnych pod samolot.

Był duży. Większy niż się spodziewałam. Wcześniej w życiu jeździłam czasem na lotnisko w Poznaniu, żeby popatrzeć jak samoloty przylatują i odlatują. Nigdy nie stałam tak blisko. Nigdy nie weszłam do środka. Aż do tego momentu.

Moje kochane siostry usadowiły mnie na najgorszym miejscu, na jakim mogły, to znaczy przy przejściu. Przy oknie usiadła moja starsza siostra, która panicznie bała się lotu, a pomiędzy nami młodsza, której lot zupełnie nie obchodził. Bez sensu, prawda? Bardzo niekorzystne ułożenie.

Z momentu startu pamiętam tyle, że trochę wcisnęło mnie w fotel i trochę zatkały mi się uszy. Moja starsza siostra płakała ze strachu, dostała ataku śmiechu, a ja się szczerzyłam, patrząc z zachwytem w malutkie okienko.

Wystartowaliśmy!

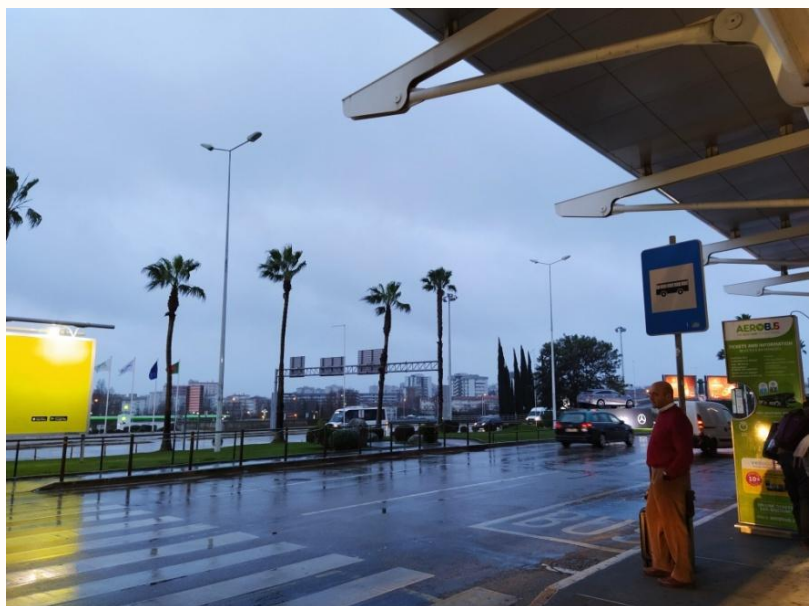


Mżawka

Nie wiem, Drogi Czytelniku, jak dobrze się znasz na geografii i wpływie różnych czynników na klimat i pogodę w danym miejscu w danym czasie, przybliżę Ci więc prędko podstawy. Lizbona znajduje się na zachodzie Portugalii, przy ujściu rzeki Tag do Oceanu Atlantyckiego. Przez bliskość dużych zbiorników wody klimat jest tam bardzo łagodny – zima w Lizbonie przypomina polską wiosnę lub wczesną jesień. Temperatura utrzymuje się tam wtedy na poziomie 12–15° Celsjusza i jest bardzo wilgotno, często pada deszcz. Tylko że lizboński deszcz trochę różni się od naszego polskiego – jest to tak naprawdę nieustanna mżawka. Człowiek ma wrażenie, że tak ogromna wilgoć wisi w powietrzu, że aż je przesiąka i pojawia się w postaci zawieszonych małych kropelek.

Z takim deszczem dużo trudniej się walczy. Mieliśmy z nim do czynienia przez większość naszego pobytu w portugalskiej stolicy i mogę Cię, Czytelniku, zapewnić, że to nic przyjemnego. Nawet nie wiadomo, kiedy stajemy się zmokłą kurą. Jedynym plusem tej pogody jest to, że nawet przemoczenie do poziomu mokrej kury nie daje się mocno we znaki – dość wysoka temperatura

powietrza sprawia, że (o ile nie jest się ubranym w krótkie spodenki i bluzkę na ramiączkach) nie odczuwa się nieprzyjemnego chłodnego przemoczenia, charakterystycznego dla polskich deszczowych dni jesiennych. A nawet jeśli komuś chłód dałby się we znaki, to może się ogrzać w pokoju w przyjemnym, wysoko przez użytkowników portalu booking.com ocenionym hostelu blisko stacji metra, prawda...?



Mandarynki

Cóż, niestety nieprawda. Jak już wcześniej wspomniałam, ferie w Portugalii były naszym drugim rodzinnym wyjazdem za granicę. I niestety drugim, podczas którego trafiliśmy na fatalne miejsce zakwaterowania. To znaczy fatalne pod względem wyglądu i wyposażenia wewnątrz, które znacząco różniło

się od zapewnionych na portalu booking.com standardów. Jaki z tego morał? Zawsze podchodź do ofert zakwaterowania podejrzliwie, Drogi Czytelniku.

W naszym hostelu w kuchni nie działało światło, lodówka „chodziła” ostatkami sił, o łazience powiem tylko tyle, że bez kłapek nie odważyłabym się wejść pod prysznic, a wygląd pokoi diametralnie różnił się od tego, jak były pokazane na stronie z ofertą. Dużą niedogodność stanowiła także temperatura w środku, ponieważ była ona niższa niż na zewnątrz! Nie żartuję. Pod dachem chodziłam w kurtce, którą zdejmowałam po wyjściu z budynku.

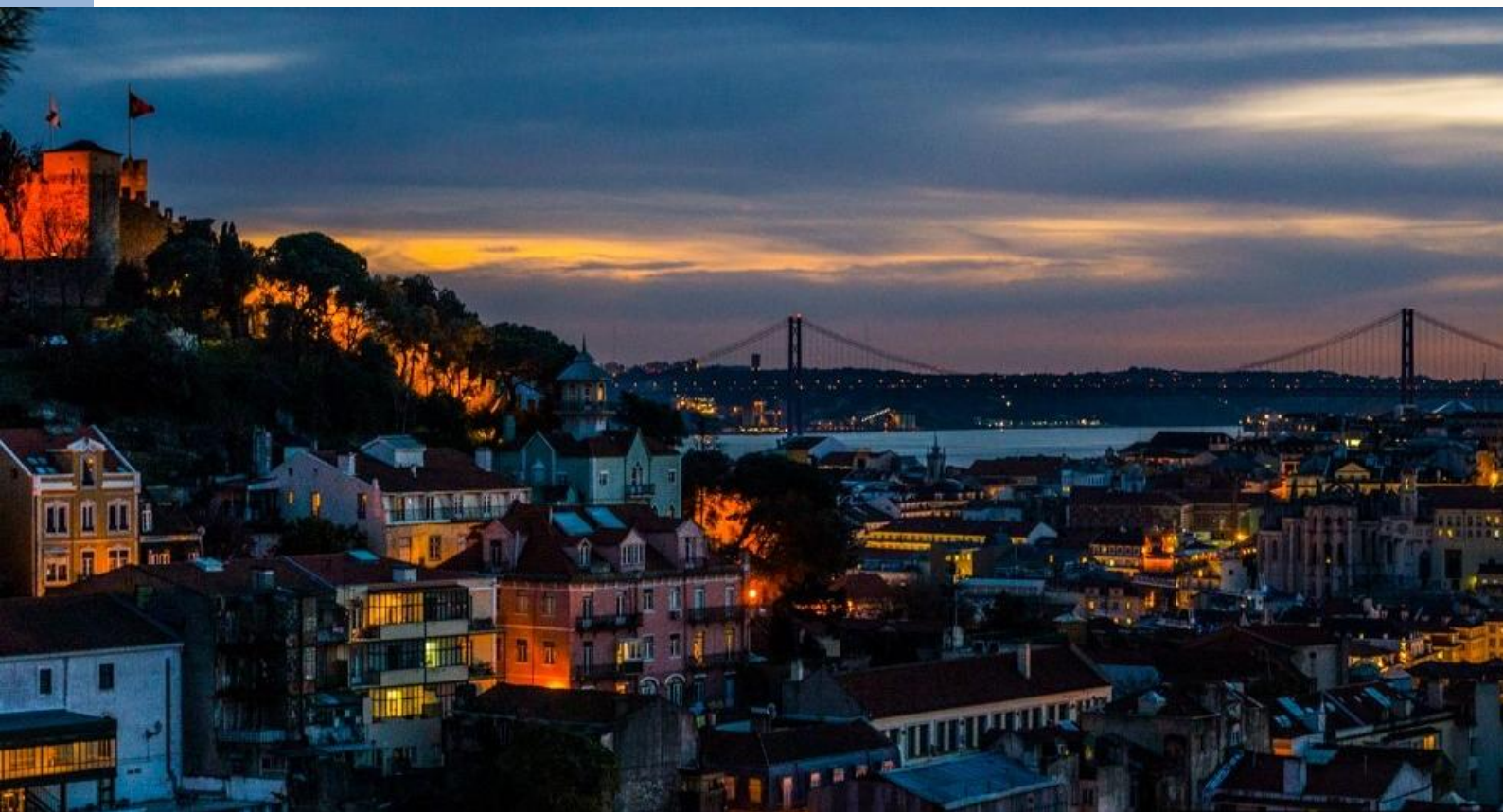


Trzeba jednak temu miejscu oddać, że rzeczywiście znajdowało się blisko stacji metra, przystanku autobusowego, charakterystycznego portugalskiego rynku oraz wspaniałego parku z fontanną zwaną Fonte Luminosa. Do wszystkich tych miejsc było maksymalnie 5 minut pieszo!

Największym pozytywnym zaskoczeniem był dla nas jednak fakt, że na podwórku za budynkiem, w którym mieścił się nasz hostel, rosnęło... drzewo mandarynkowe. Kiedy to zobaczyliśmy, wszyscy byliśmy bardzo zaskoczeni, chociaż to przecież nic dziwnego – klimat Portugalii umożliwia wzrost egzotycznym gatunkom drzew i krzewów, a zima to czas, kiedy wydają owoce.

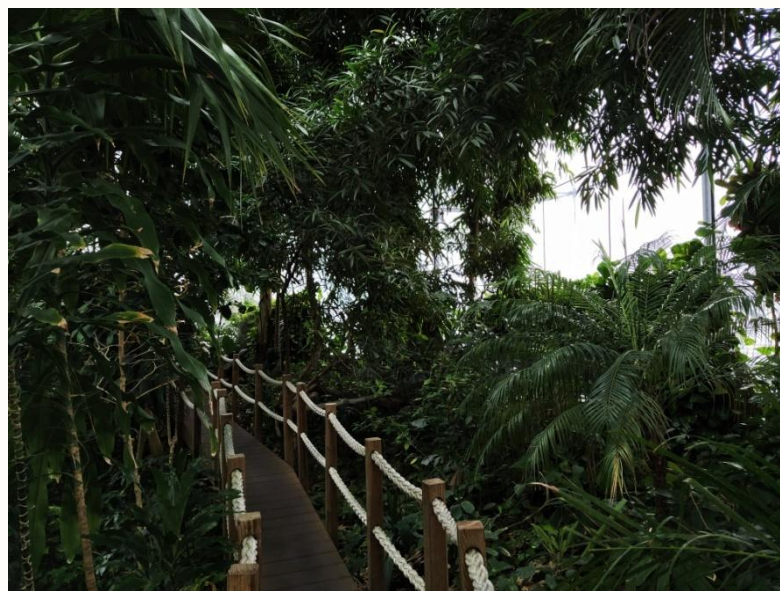
7 wzgórz

Przewodnicy wycieczek, miejscowi mieszkańcy oraz firmy marketingowe nazywają Lizbonę „miastem położonym na siedmiu wzgórzach”. Przy oglądaniu panoramy miasta zrobiło to na mnie duże wrażenie, ponieważ jako człowiek z nizin, rzadko mam okazję podziwiać takie widoki. Szczególnie piękny był ten obraz w nocy, kiedy wracaliśmy do miejsca zakwaterowania krętą drogą, położoną na jednym ze wzgórz. Po naszej prawej stronie poniżej rozciągało się rozświetlone milionami świateł miasto, miejscami pnące się wznwyż, w innych miejscach delikatnie opadające w dół, tworzące przepiękny pokaz świateł i cieni.



Co ciekawe, Lizbona leży po dwóch stronach rzeki Tag. „Ale co w tym ciekawego?” – mógłbyś zapytać. „Nie ona jedna”. Otóż jest to ciekawe, ponieważ stolica Portugalii jest położona przy ujściu tej rzeki do oceanu, które ma formę estuarium, brzegi są więc od siebie dość daleko. Łączy je most Vasco da Gamy, mający długość 17,2 km, co czyni go drugim najdłuższym mostem drogowym w Europie.

Lizbona oferuje wiele ciekawych miejsc do zwiedzenia. Jej wizytówką jest Oceanário de Lisboa, czyli oceanarium. Dodam, że największe w Europie, w którym żyje ponad 25 tysięcy morskich stworzeń z całego świata. Było ono oczywiście numerem jeden na naszej liście rzeczy do odwiedzenia.



Numerem jeden i w sumie jednocześnie numerem jedynym, ponieważ nasze wyjazdy polegają raczej na spontanicznym odwiedzaniu tego, co mamy po drodze, niż dokładnym planowaniu trasy.

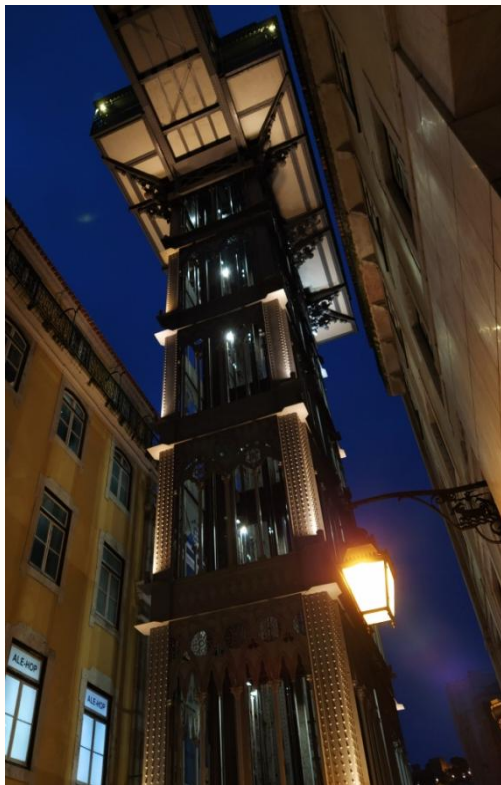
Jestem zdania, że żeby dobrze poznać miasto, które się odwiedza, warto przejechać się w nim komunikacją miejską. Pozwala to poczuć jego klimat i zobaczyć tak, jak nie da się tego zrobić, jeżdżąc po nim samochodem. Podróż komunikacją miejską zwykle przebiega wolniej, jest więc więcej czasu na przyjrzenie się miastu. Zwłaszcza poza jego głównymi ulicami, a to daje często możliwość zaobserwowania rzeczy niedostrzegalnych innym sposobem.

Tak właśnie udało nam się znaleźć na drugim końcu kontynentu kawałek „naszego domu”. Z boku dużego graffiti na starym lizbońskim budynku dostrześliśmy Watchera, charakterystyczną postać autorstwa poznańskiego artysty Noriakiego, jaką można spotkać w wielu miejscach stolicy Wielkopolski.



W Lizbonie kupno całodobowego biletu na komunikację miejską ma jeszcze jedną, znaczącą zaletę, bowiem poza korzystaniem z metra, tramwajów czy autobusów można po jego okazaniu przejechać się jedną z (jak to mówią mieszkańcy) „elevadores”, czyli w dosłownym tłumaczeniu „wind”. W stolicy Portugalii znajdują się takie cztery, z czego trzy są do siebie dość podobne, a jedna znacząco się od nich różni. Cóż to jest? Już spieszę z tłumaczeniem. Trzy podobne do siebie, Elevador da Glória, Elevador da Bica oraz Elevador do Lavra to charakterystyczne lizbońskie kolejki.





Poruszają się one po szynach w górę wzniesień Lizbony i są umiejscowione w najbardziej malowniczych uliczkach tego miasta. Są wąskie i dają możliwość zobaczenia stolicy Portugalii z zupełnie innej perspektywy, ukazując widok na przykład na rzekę Tag.

Czwarta winda to Elevador de Santa Justa. Różni się od reszty tym, że znajduje się w wieży stojącej w jednej z uliczek Starego Miasta w Lizbonie i bardziej kojarzy się z typową windą, ponieważ porusza się w pionie. Można z niej wyjść na dwa poziomy punktów widokowych (drugi jest dodatkowo płatny), które dają okazję do podziwiania pięknej panoramy miasta.

W stolicy Portugalii można zwiedzić też bardzo wiele kościołów. Jeden z nich zasługuje na szczególną uwagę. My trafiliśmy do niego w zasadzie przypadkiem, ponieważ był najbliższym naszemu miejscu zakwaterowania kościołem katolickim. Jest on niezwykłym miejscem, ponieważ przetrwał trzęsienie ziemi w 1531 roku i kataklizm w 1755 roku (niezwykle silne trzęsienie ziemi i tsunami, które zostawiło po sobie niemal zupełnie zrujnowaną Lizbonę oraz zniszczoną większą część południowego wybrzeża Portugalii), jednak największe widoczne dziś zniszczenia przyniósł pożar w 1959 roku, kiedy od płonących świec zapaliły się drewniane ołtarze.

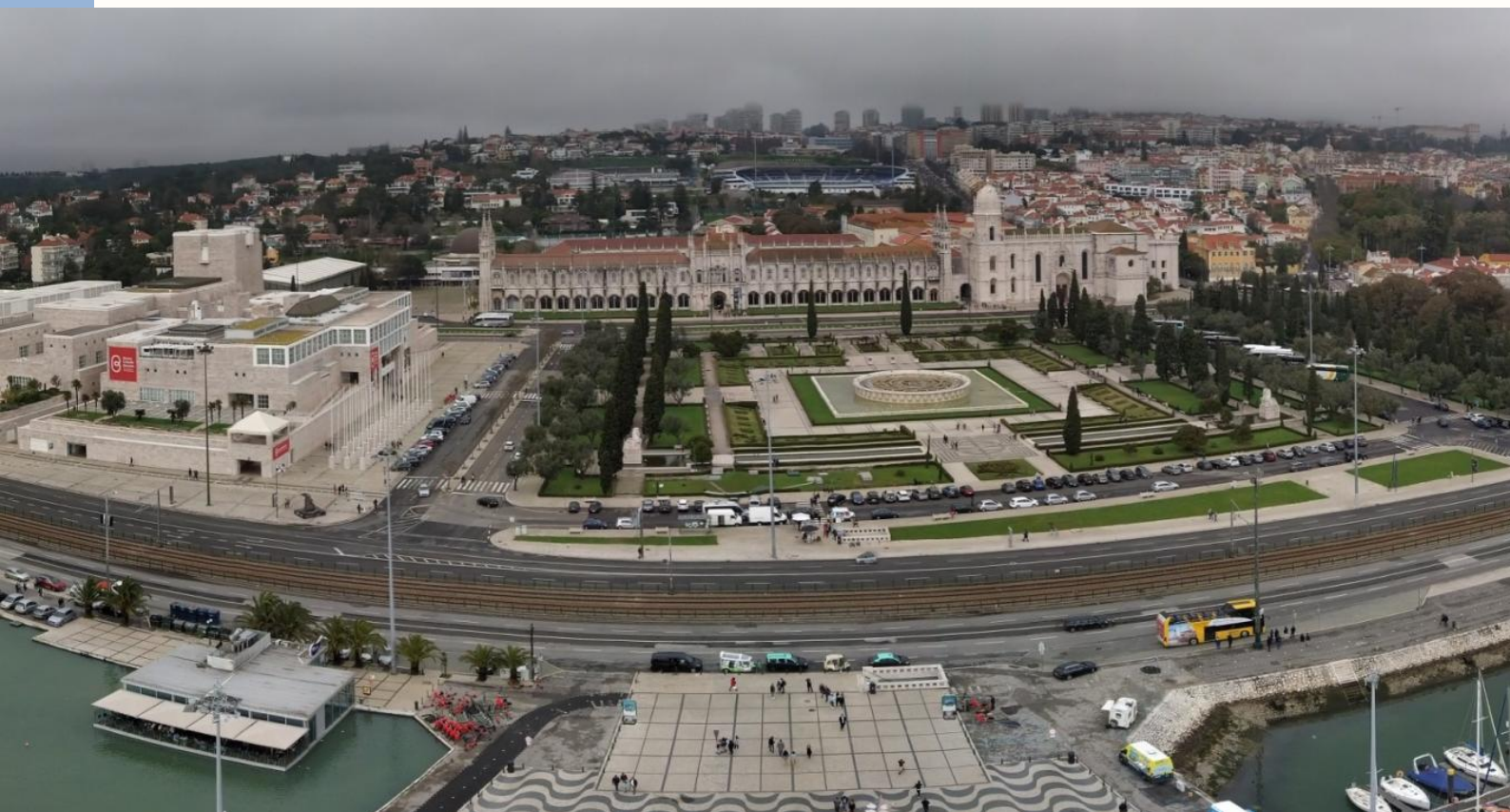


Po tym wydarzeniu kościół nigdy nie został całkowicie zrekonstruowany, ponieważ w trakcie prac podjęto decyzję, żeby nie przywracać pierwotnego kształtu, lecz ukazać ogrom zniszczeń pożaru. Całkowita naprawa i tak jednak byłaby niezwykle trudna, bo część kolumn i elementów konstrukcyjnych popękała.

Kolejnym wartym uwagi miejscem w Lizbonie jest Pomnik Odkrywców, znajdujący się w dzielnicy Belém. Ma kształt statku, którym płyną ważne postacie z okresu wielkich odkryć geograficznych, m.in. Henryk Żeglarz, Vasco da Gama czy Fryderyk Magellan. Zasadniczo jest to wąska wieża z tarasem



widokowym na szczycie, na który (za drobną opłatą) można wejść po schodach lub wjechać windą. Widać z niego inny słynny lizboński zabytek, klasztor Hieronimitów oraz miejski stadion. Przed pomnikiem znajduje się marmurowa mozaika, podarowana przez RPA, przedstawiająca mapę i trasę podróży portugalskich odkrywców.



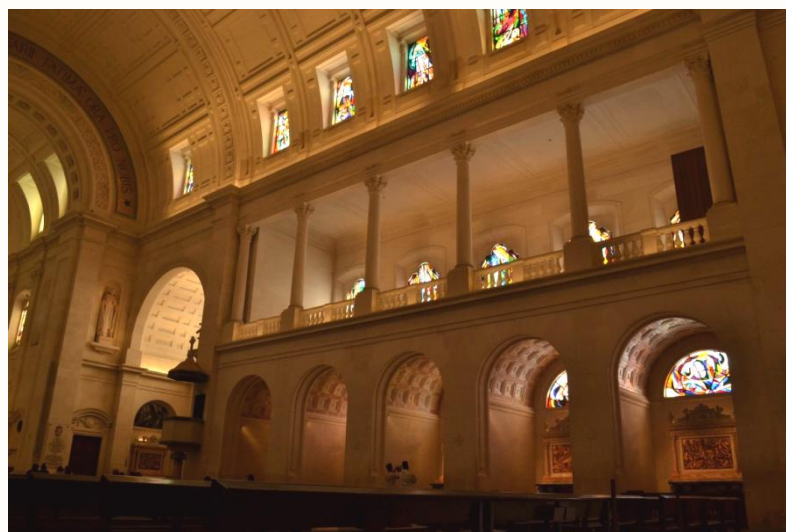
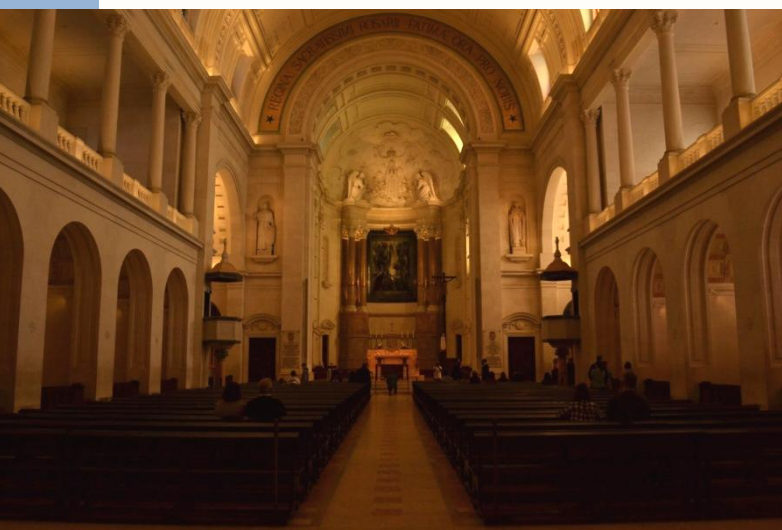
Ocean

Jak wspominałam wcześniej, przez większość naszego pobytu w Portugalii pogoda była deszczowa. Jednak oprócz wszechobecnej wilgoci zimy w tym kraju charakteryzuje także nieprzewidywalność. W przeddzień naszego wyjazdu temperatura wzrosła do przyjemnych dwudziestu dwóch stopni, chmury zniknęły, a wszystko dokoła zostało zalane słonecznym blaskiem. Ten dzień wybraliśmy, żeby pojechać nad ocean. Mój tata znalazł w internecie miejscowość o nazwie Nazaré, uznawaną za raj surferów, ponieważ powstają tam największe fale na świecie. Jest to spowodowane uwarunkowaniami geograficznymi — pod powierzchnią wody tuż za wybrzeżem znajduje się kanion Nazaré, osiagający głębokość do 5000 metrów i długość około 230 kilometrów. Z powodu tego uskoku geologicznego fale mogą podróżować ze znacznie większą prędkością, docierając do wybrzeża praktycznie bez rozpraszania energii.



Po drodze jednak wstąpiliśmy do sanktuarium w Fatimie. Muszę przyznać, że było ono dla mnie bardzo przyjemnym zaskoczeniem. Zachwyciło mnie swą klasyczną prostotą.

Niektóre kościoły czy sanktuaria swoim przepychem zwalają z nóg, ale niekoniecznie w pozytywnym znaczeniu tego wyrażenia. Fatima za to dostała się do mojego serca tak jakby ukradkiem. Delikatne łuki, klimatyczne witraże i wszechobecna, mleczna biel dały mi poczucie niesamowitego spokoju i ciepła bijącego z tamtego miejsca.



Droga nad ocean zleciała mi bardzo szybko. Nigdy nie przepadałam za widokiem morza, zawsze byłam raczej „górską” osobą. Wolę aktywny odpoczynek od biernego. Od siedzenia na plaży wolałam spacerowanie po górach, zmianę perspektywy, poznawanie pasma, zdobywanie szczytów. Uważałam, że widok wody jest nudny, monotony.

Ten dzień na zawsze odmienił moje zdanie. Kiedy parkowaliśmy przy forcie znajdującym się na szczycie klifu nad plażą, wyjrzałam przez okno samochodu i widok zaparł mi dech w piersiach, a w oczach stanęły mi łzy zachwytu. Po prawej stronie, kilka metrów niżej, rozciągała się długa plaża. Za nią zaczynał się rozległy obszar oceanu, ciągnący się daleko za horyzont.



Woda miała głęboki błękitny kolor i wesoło odbijała promienie słońca, dając efekt przykrycia jej świetlistą siecią. Wsiadłam z samochodu, oczarowana. Ten moment pomiędzy zupełną nieświadomością, co za chwilę zobaczę, a rzuceniem się w wir robienia zdjęć, pamiętam bardzo dobrze. Patrzyłam na wodę, zahipnotyzowana jej ruchem, a świat na krótką chwilę zwolnił. Byłam tylko ja, słońce i nieprzebyta głębia oceanu przede mną.



Fim / KONIEC

Zeszliśmy na plażę i tam spędziliśmy resztę tego dnia. Stojąc tam, na tym skrawku piasku, poczułam, jak mała jestem w obliczu Natury, jak wielka przepaść dzieli mnie od niej. Stojąc tam, na tym skrawku piasku, myślałam o pięknie świata, jego wielkości i różnorodności. Stojąc tam, na tym skrawku piasku, czułam przenikający mnie smutek na myśl, że my, ludzie, te małe dla tej pięknej Natury istoty, potrafimy ją tak bezwzględnie i bezmyślnie niszczyć, myśląc tylko o swoich małych jestestwach umieszczonych w centrum naszych małych żyć.



Stojąc na piasku i patrząc w płonące słońce, powoli gasnące w zimnych falach, myślałam o tym, jak bardzo będę tęsknić za tym miejscem.

tekst i zdjęcia: **Weronika Dolata**

W domu Chalifa

ciąg dalszy
relacji z pobytu
w Sudanie

Któż z nas nie czytał *W pustyni i w puszczy* Henryka Sienkiewicza? Któż z nas nie zachwycał się ich przygodami na Czarnym Lądzie? Któż z nas nie pamięta wizyty Stasia Tarkowskiego i Nelly Rawlison w Pałacu Mahdiego i nakłaniania ich na zmianę wiary na islam?

Odwiedzenie miejsc związanych z przygodami Stasia i Nel od dawna było moim marzeniem. A pobyt w Chartumie stwarzał do tego świetną okazję. Ale, po kolei...

Kim był Mahdi? Muhammad Ahmad ibn Abd Allah, bo tak brzmi pełne imię Mahdiego, był pierwszym przywódcą trwającego 18 lat (1881–1899) konfliktu zbrojnego pomiędzy siłami egipsko-brytyjskimi a sudańskimi Beduinami (powstańcami). Jego imię oznacza zapowiedzianego przez religię islamską bohatera, który na kilka lat przed Sądem Ostatecznym ma objąć władzę nad muzułmanami i wybawić świat od zła.

Należy pamiętać, że na początku XIX wieku Sudan należał do Egiptu, który z kolei był kontrolowany przez Imperium Osmańskie. Sudańczycy zmuszani byli do płacenia bardzo wysokich podatków swoim zarządcom, a ubogich rolników i pasterzy nie było na to stać. Walka, prowadzona w celu obrony przed wysokimi podatkami, przemieniła się z czasem w wojnę na tle kulturowym i religijnym. W 1883 roku zwolennicy Mahdiego

- „Dżirry” — ogromne gliniane naczynia na wodę w Domu Mahdiego w Chartumie



- Wnętrze w Domu Mahdiego

(mahdyści) pokonali trzy armie tureckie, a w 1885 roku na polu bitwy poległ słynny brytyjski generał Charles Gordon, przysłany na pomoc Egipcjanom. Ostatecznie zwyciężyły wojska egipsko-brytyjskie, w bitwie w 1898 roku w Omdurmanie, a Sudan został podzielony na część egipską i brytyjską.

W dzień wolny od pracy na wykopaliskach, czyli w piątek (dzień święty dla muzułmanów), gorącym, marcowym przedpołudniem postanowiliśmy wybrać się do Domu Chalifa, czyli miejsca, w którym znajduje się mauzoleum Mahdiego oraz muzeum historii Sudanu w czasie powstania Mahdiego. Mamy bardzo blisko, ponieważ mieszkamy w Omdurmanie¹, gdzie również znajduje się mauzoleum Mahdiego. Jego okazałe wieże, ze srebrnymi kopułami odbijającymi promienie słoneczne, widoczne są już z daleka. Nie jest to pierwotny grobowiec Mahdiego, gdyż ten został zburzony przez wojska angielskie, a ciało zbezczeszczone. Jednak Mahdi ma swoich zwolenników i dziś (przedstawiciele partii Umma), grobowiec został zrekonstruowany w XX wieku.

Wnętrza Domu Chalifa (następcy Mahdiego) zadziwiają surowością, jednak należy mieć na uwadze, że ponad 100 lat temu wyglądały bardziej okazałe. Opiekunowie Domu są dla nas bardzo mili, uśmiechają się, pytają „Inti mineem”? Skąd jesteś? Odpowiadam: „Ana min Bulanda²” – jestem z Polski. I oboje się uśmiechamy. Po zwiedzeniu wnętrza Domu, udajemy się na dziedziniec, a tam – dobrze nam znane „dżirry” – ogromne naczynia gliniane naczynia na wodę. Stawiane są one wszędzie – przy ulicach, placach, tak aby każdy, kto jest spragniony, mógł napić się wody. To bardzo ważne w miejscu, gdzie temperatura często przekracza 45° C. Czasem stojaki, na których się znajdują, mają zadaszenie, aby uchronić naczynia przed dostaniem się do nich kurzu, owadów, liści. Często przywieszane są do nich kubki. Muszę się przyznać, że nie odważyłam się napić wody z „dżirry”...

Na dziedzińcu znajduje się też rzecz dość niezwykła... drewniany samochód z 1905 roku, zaprojektowany specjalnie dla sir Francisca Wingate'a³, brytyjskiego generała i administratora Egiptu i Sudanu. Generał mógł odbywać podróże tym wehikułem również na pustyni. Silnik mógł być napędzany zarówno benzyną, jak i olejem parafinowym.

Wycieczka zakończona. Trzeba wracać... Jutro znów pracowity dzień na wykopaliskach... [cdn.]

tekst i zdjęcia: **Michalina Tabaka**



• **Widok na Mauzoleum Mahdiego w Omdurmanie**



• **Samochód administratora Egiptu i Sudanu z 1905 roku**

Przypisy:

- 1 Omdurman, połączony mostami z Chartumem i Chartumem Północnym, tworzy kulturalne i polityczne centrum Sudanu.
- 2 W języku arabskim nie występuje litera „p”.
- 3 Samochód obecnie eksponowany jest w Sudańskim Muzeum Narodowym.

KONTROLA PASZPORTOWA

Imię. Nazwisko. Paszport. Po co Pan/Pani tu przyjechała? Czy ma Pan/Pani coś do oclenia? Niezmienny zestaw pytań powtarzających się kiedyś przy przekraczaniu każdej granicy.

My też postanowiliśmy przygotować stały kwestionariusz pytań dotyczących podróżowania, a o odpowiedzi będziemy prosić obecnych członków Koła Turystycznego oraz absolwentów.

**Dziś kontrolę graniczną przechodzi
KARINA KOWALCZYK,
która brała udział w 16 wyprawach
Koła Turystycznego w latach 2016–2020.**



Top 5 miejsc z Twojej listy wymarzonych miejsc do odwiedzenia

- ✓ Moja lista to:
 1. Bieszczady. 2. Park Narodowy Banff w Kanadzie. 3. Yucatan, Meksyk.
 4. Cebu, Filipiny. 5. Islandia.

Góry czy morze?

- ✓ I góry, i morze.

Zawsze na czas czy wiecznie spóźniona?

- ✓ Kiedyś na czas, teraz wiecznie spóźniona.

Miejsce, które w odbytych do tej pory podróżach zrobiło na Tobie największe wrażenie?

- ✓ Moje „top 3” wrażenia z podróżowania to:
 1. wspaniałe widoki na górę Kazbek z miejscowości Stepancinda na północy Gruzji. 2. Stolica Armenii Erywań i to, jaki smutny, a zarazem piękny widok mają jego mieszkańcy na górę Ararat (smutny, ponieważ Ararat leży w Turcji, a piękny, ponieważ górę widać z każdego zakątka

miasta). 3. Kaplica Sykstyńska w Watykanie (żadne dzieło rąk ludzkich nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak sklepienie, które się tam znajduje).

Twoje motto w podróży?

- ✓ Na przypale albo wcale.

Przed wyjazdem pełen spokój czy rajzefiber?

- ✓ Raczej pełen spokój. Rajzefiber jak już, to przed podróżą samolotem.

Na Giewont w szpilekach czy w klapkach?

- ✓ W dwóch różnych japonkach.

Jaki nastrój, taka pogoda — czy jaka pogoda, taki nastrój?

- ✓ Jaka pogoda, taki nastrój.

O wszystkim mogę zapomnieć, ale zawsze spakuję do plecaka...

- ✓ Zawsze, ale to zawsze — termos z kawą i coś słodkiego.

Najsmaczniejszy lokalny przysmak, który jadłaś.

- ✓ Bardzo dobry jest lawasz, czyli ormiański chleb, który jadłam w Erywaniu, chinkali przypominające pierogi, które miałam okazję zjeść w Tibilisi, oraz oscypki w Zakopanem. Jednak najlepsze są poznańskie dania — pyry, gdzie się da!

Jak trafiłaś do Koła Turystycznego?

- ✓ Do koła trafiłam w pierwszej klasie we wrześniu, gdy usłyszałam komunikat o pierwszym spotkaniu w roku szkolnym. Stwierdziłam, że pójdę. I tak w nim zostałam.

Najlepszy sposób na relaks po wyrzpie z Kołem — krótka drzemka czy partyjka Time's Up z prof. Matuszewskim w drużynie?

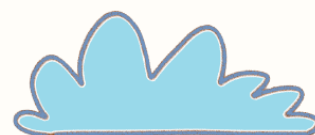
- ✓ Drzemka jak już, to na Śnieżce, na szczycie, a po całym dniu — partyjka w Time's Up.

Co najbardziej lubisz w wyjazdach z Kołem?

- ✓ Nieprzewidywalność. W głowie się nie mieści, co może nas czekać za przygodą na szlaku i jakie piękne zakątki można zobaczyć.

Zapora Pilchowice?

- ✓ Obowiązkowa wycieczka dla każdego członka Koła.



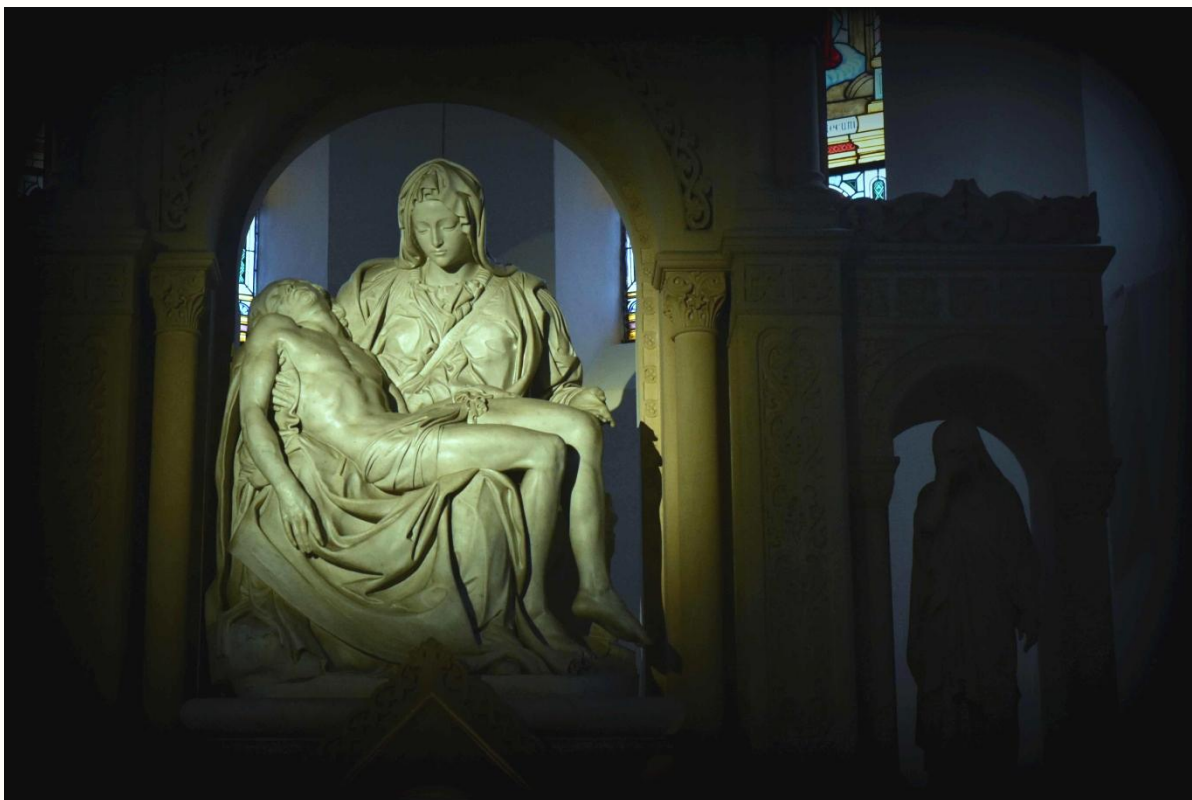
OMNES VIAE ROMAM DUCUNT

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. W czasach dawnych stwierdzenie to miało znaczenie dosłowne. Wszystkie trakty zbiegały się w sercu Imperium, tam koncentrowało się życie starożytnego świata. Dziś sentencję traktować trzeba nieco bardziej metaforycznie. Nadal jednak w zakresie prawa, filozofii, architektury, muzyki i innych dziedzin sztuki wiele ścieżek prowadzi do Wiecznego Miasta. Zatem i my, jako „turyści we własnym mieście” poszukajmy rzymskich śladów w Poznaniu. Tym bardziej że podczas nadal krótkich, często szarych i pochmurnych dni, na wspomnienie spaceru po słonecznym Awentynie i lodów przy fontannie di Trevi nastrój poprawia się znacznie.

Moglibyśmy zacząć od topografii. *Septimontium*, siedem rzymskich wzgórz, na których powstała stolica Włoch, ma swój odpowiednik nad Wartą. Poznań też ulokował się na wzniesieniach, a gdyby je dobrze policzyć, byłoby ich nawet więcej niż siedem. Część z nich nadal widoczna jest w miejskim pejzażu – jak Góra Przemysła i Wzgórze świętego Wojciecha, większość jednak przez stulecia została zniwelowana i ich ślady pozostały w nazwach takich jak ulica Podgórna lub na starych mapach. Zostawmy więc trop geograficzny i poszukajmy w Poznaniu obiektów wprost wzorowanych na rzymskich oryginałach.

Który poznański fyrtel jest najbardziej rzymski? Mimo że na Starym Mieście inspiracji i odniesień do Wiecznego Miasta jest sporo, to odpowiedzią będzie Łazarz. Czytelnika, który z niedowierzaniem czyta te słowa i zakłada, że będę próbował przekonać go o podobieństwie Rynku Łazarskiego do Piazza Navona, zabieram nieco dalej, do kościoła pw. Matki Boskiej Bolesnej. Z zewnątrz neoromańska sylwetka ponadstuletniej świątyni nie budzi jeszcze oczywistych skojarzeń, ale gdy tylko wejdziemy do środka, nie ma już żadnych wątpliwości. Jesteśmy w Rzymie! W watykańskiej Bazylice świętego Piotra.

Wszystko to za sprawą rzeźby, która znajduje się w głównym ołtarzu. Wiadomo o niej niewiele. Nie było jej jeszcze podczas poświęcenia świątyni w 1901 roku, przywiezioną ją dwa lata później, a jakże – z Rzymu! Była dziełem rzeźbiarza Morelliego, kosztowała 9800 marek, na Łazarz dostarczyła ją firma Szpetkowskiego. Jest wierną kopią słynnej Piety Michała Anioła, ponoć najlepszą na świecie. Niektórzy twierdzą, że rzymski oryginał wiele zawdzięcza poznańskiemu duplikatowi.



Pieta w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu

Ta historia ma początek w Rzymie w 1972 roku. Pewnej majowej niedzieli na niezakrytą jeszcze pancerną kopułą Pietę rzucił się szaleńiec. Geolog Laszlo Toth odłupał fragment rzeźby, niszcząc twarz, nos i prawe ramię Madonny. Do zrekonstruowania arcydzieła potrzebny był wzorzec, który jak głosi przekazywana z ust do ust historia, znaleziono właśnie na poznańskim Łazarzu. Specjalna komisja miała zjawić się w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej, wykonać potrzebne pomiary, dokumentację i wrócić do Watykanu. Opowieść ta, powtarzana i przytaczana wielokrotnie, żywa jest wśród mieszkańców Łazarza do dziś.



Pieta watykańska

Historia tak intrygująca, że aż zaprasza by podążać jej tropem. Dotrzeć do świadków, poznać więcej szczegółów, może znaleźć stare zdjęcia i dokumenty potwierdzające udział łazarskiej kopii w rekonstrukcji oryginału. Tak właśnie postanowiłem zrobić kilka lat temu, nie spodziewając się, że finał tych dociekań okaże się zaskakujący. Od samego początku dominowały fałszywe ślady i ślepe zaułki. Ksiądz

proboszcz, pan kościelny, starsi zaangażowani parafianie, wszyscy zapytani, zgodnie odwoływali się do tradycji ustnej jako niepodważalnego źródła. Księża, którzy w 1972 roku mogli się osobiście zetknąć z gośćmi z Watykanu, już nie żyją, lub nie są w stanie odszukać w pamięci szczegółów posługi na Łazarzu. Może więc uda się dowiedzieć czegoś w inny sposób? Przecież niemożliwe wydaje się, żeby pracujący nad rekonstrukcją Piety pojawili się w Poznaniu bez wiedzy arcybiskupa.

Po zapukaniu w odpowiednie drzwi na Ostrowie Tumskim na historii pojawia się pierwsza rysa. Kilkudniowe poszukiwania kończą się konkluzją, że żadne materialne ślady po watykańskiej delegacji nie istnieją, a ówczesny dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego powątpiewa, żeby wizyta w takim celu mogła mieć miejsce. Kto lub co może uratować i potwierdzić naszą opowieść? Oczywiście internet! Korzystając z dobrodziejstw współczesnej telekomunikacji szybko napisałem e-mail do przewodników miejskich po Rzymie, których adresy znalazłem w wyszukiwarce. Bardzo ucieszyłem się, kiedy zacząłem otrzymywać odpowiedzi. Niestety, ich treść najczęściej ograniczała się do kurtuazyjnego stwierdzenia, że to niezwykle ciekawe, ale nikt nic bliżej o polskim wątku naprawy arcydzieła Michała Anioła nie wie. Wszystko wskazywało na to, że zagadka pozostanie nierozwiązana. Nie udało się potwierdzić lokalnej wersji, ale również nie było żadnych dowodów na to, że nie jest ona prawdziwa.

Nasza szkoła od wielu lat prowadzi wymianę uczniów z Liceo Scientifico Lorenzo Mascheroni z położonego niedaleko Mediolanu Bergamo. Co ma to wspólnego z historią łazarskiej Piety? Otóż właśnie z Bergamo nadeszła rozstrzygająca odpowiedź! Nieoceniony okazał się zaprzyjaźniony nauczyciel Battista Panseri, z którym podzieliłem się wątpliwościami i mizernymi efektami „śledztwa”. Battista obiecał wypytać kolegów z pokoju nauczycielskiego zajmujących się historią sztuki. Kiedy niczego się od nich nie dowiedział, zdecydował się na zaskakująco proste rozwiązanie. Chwycił za telefon, wykręcił numer do Muzeów Watykańskich i – jak później napisał w e-mailu – „miał wielkie szczęście!”.

Z szybko bijącym sercem czytałem dalsze słowa wiadomości. Na czym polegało to szczęście? Czy udało się potwierdzić związek między kopią a oryginałem? Battista napisał tak: „Wyobraź sobie, że powiedziano mi, że w pokoju obok znajduje się sam Nazzareno Gabrielli, który osobiście nadzorował rekonstrukcję Piety. Powiedzieli, że poproszą go do telefonu i będę mógł z nim porozmawiać. Signore Gabrielli okazał się bardzo miłym człowiekiem. Tylko wiesz... Pietę odtworzyli z wiernej kopii, którą mają w Muzeach Watykańskich,

a o Poznaniu nigdy w życiu nie słyszał”. Choć nie taki miał być finał tej historii, to jednak przyjąć można, że jej prawdziwość została rozstrzygnięta. Chyba że znajdzie się jeszcze naoczny świadek lub ktoś z zapomnianego archiwum wyciągnie nieoczekiwany dokument.

Oczywiście to, że historia wykorzystania poznańskiej Piety do rekonstrukcji uszkodzonego oryginału okazała się „miejską legendą”, niczego nie ujmuje łazarskiej rzeźbie. Nadal pozostaje ona jedną z najlepszych na świecie kopii, jej piękno wciąż zachwyca, zachęca do zadumy i powoduje, że możemy poczuć się jak w Rzymie!*

Tych, którzy lubią turystykę filmową, na chwilę zostawiam jeszcze w kościele na Łazarzu. Pieta zagrała bowiem w niezwykle istotnej scenie filmu Filipa Bajona opowiadającego o wydarzeniach poznańskiego Czerwca’56. Fragmenty nakręcone we wnętrzu świątyni mogą też trafić do kategorii filmowych wpadek, trudno bowiem wytłumaczyć obecność w kadrze posoborowego ołtarza.

Jeszcze inny rzymski obiekt czeka na nas w największym łazarskim parku, noszącym imię Jana Kasprowicza. Obiecuję, że na te tereny jeszcze kiedyś wrócimy na dłużej, żeby opowiedzieć o PeWuCe, ponieważ przez kilka miesięcy ten fyrtel przypominał rozświetlone i nigdy nie zasypiające Las Vegas. Tym razem pewnym krokiem kierujemy się w stronę Areny.

Mimo że hala ta powstała w 1974 roku, do dziś w mieście nie wybudowano większej. Zaprojektował ją Jerzy Turzeniecki, tworząc jeden z najbardziej rozpoznawalnych budynków w Poznaniu. Stalowa czasza pokryta barwioną na złoty kolor blachą aluminiową nakrywa halę niczym wielki cyrkowy namiot, opierając się na promieniście rozmieszczonych słupach nośnych. Co ciekawe, słupy te mają nie tylko nośną i dekoracyjną funkcję, są też rynnami, które podczas opadów odprowadzają wodę z dachu. Arena była świadkiem wielu zmagani sportowych, koncertów i spotkań. Grał tutaj słynny tenisista Björn Borg, wielkie sukcesy w europejskich pucharach odnosili koszykarze Lecha i zawodniczki Olimpij, hala gościła też koszykarskie Mistrzostwa Europy i siatkarską Ligę Światową.

Co łączy Arenę z Rzymem? Wystarczy rzut oka na halę, którą zaprojektowano w stolicy Włoch na Letnie Igrzyska Olimpijskie w 1960 roku. Palazzetto dello Sport uważany był za jedną z najlepszych realizacji wybudowanych na potrzeby zawodów. W „pałacyku sportu” rywalizowali koszykarze i zawodnicy w podnoszeniu ciężarów. Mazurka Dąbrowskiego usłyszał tam Ireneusz Paliński, złoty medalista w kategorii wagowej 82,5 kg. Podobieństwo pomiędzy halami jest uderzające, choć bez problemów można też wskazać

*Cała historia jest też dowodem na to, że z pewną rezerwą należy podchodzić do informacji, które znaleźć można w Wikipedii. Największa internetowa encyklopedia bez zająknięcia (ale również bez podania źródła) dowodzi, że wzorzec do rekonstrukcji zniszczonej Piety odnaleziono na Łazarzu. Poznańska kopia została nawet doceniona tak bardzo, że pod hasłem „Pieta watykańska” jej fotografia jest znacznie większa niż zdjęcie oryginału.

różnice. Niezwykle ciekawe jest też to, że jednym ze współtwórców rzymskiego oryginału był Pier Luigi Nervi. Ten przedstawiciel modernizmu zasłynął wieloma wyrazistymi projektami, będąc autorem (lub współtwórcą) kwatery głównej UNESCO w Paryżu, wieży Pirelli w Mediolanie, dworca autobusowego George'a Washingtona w Nowym Jorku, dworca Termini w Rzymie czy Auli Pawła VI w Watykanie.



Hala widowisko-sportowa Arena w Poznaniu



Palazzetto dello Sport w Rzymie

Poza Łazarzem rzymskie wątki, choć mniej już oczywiste, znajdziemy w centrum miasta. Włoski trop poprowadzi nas przede wszystkim do kościołów, ponieważ były one często inspirowane rozwiązaniami stosowanymi w budownictwie sakralnym w Rzymie. To, co powstawało w stolicy chrześcijaństwa, promieniowało na duże

miasta i mniejsze miasteczka na całym kontynencie. Czasami w formalny sposób, jak w przypadku wzorców stosowanych przez jezuitów. Dlatego dziś w wielu polskich miastach znajdujemy kościoły, w których odczytać można nieco rzymskich oryginałów. Nie inaczej jest w Poznaniu. Wnętrze kościoła Dominikanów przy al. Niepodległości często wiąże się z Bazyliką Santa Maria Maggiore, w farze ołtarz i obraz ukazujący św. Franciszka Ksawerego zaczerpnięte są z rzymskich kościołów Il Gesù i San Ignazio. Jeden z najpiękniejszych poznańskich dziedzińców, który zdobi szkołę baletową, też swój wzór ma mieć w stolicy Włoch. Tego wzorca poszukać trzeba w niesamowitym San Carlo alle Quattro Fontane zaprojektowanym przez owładniętego manią krzywych i falujących linii Francesco Borrominiego. Są jeszcze schody, ukryte na podwórku niedaleko Starego Rynku. Jednak na to i inne tajemnicze podwórka obiecuję zabrać Cię, Drogi Czytelniku, następnym razem.

Oczywiście, w poznańskiej architekturze nie czerpano tylko z Rzymu. Z historycznych względów dużo bardziej zasadne wydaje się spojrzenie na Berlin. A mamy też w naszym mieście odrobinę Paryża, Lwowa, słonecznej Andaluzji czy dużo chłodniejszej Norwegii. Wystarczy trochę poszperać, znaleźć w internecie zdjęcia oryginalnych obiektów i porównać z poznańskimi odpowiednikami. Poszukiwanie takich europejskich wątków może być przygodą, dobrą zabawą i namiastką podróży po kontynencie – w czasie gdy pandemia zatrzymała nas w domu.

tekst: **Piotr Ciesielski**

Korzystałem z:

B. Krzyślak, Z. Kurzawa, *Kościół Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu*, Poznań 2013

Z. Kurzawa, A. Kuztelski, *Historyczne kościoły Poznania*, Poznań 2006

J. Pazder (red.), *Atlas architektury Poznania*, Poznań 2008

J. Stranz, *Matko Nasza*, Poznań 2000

Autorzy zdjęć:

Pieta w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu — autorka zdjęcia: Justyna Kędra

Pieta watykańska — autor zdjęcia: Juan M Romero, CC BY-SA 4.0

Hala widowisko-sportowa Arena w Poznaniu — autor zdjęcia: Piotr Ciesielski

Palazzetto dello Sport w Rzymie — autor zdjęcia: Mister No, CC BY 3.0

WIELKI ZIMOWY TRAWERS POZNANIA

W bardzo mroźny wieczór dnia 12 lutego 2021 roku, po pięciu miesiącach turystycznej pustki i samotności w komputerowej pustyni, podjąłem się udziału w ledwo co zapowiadanej wyprawie, której celem było pokonanie trawersu Poznania. Podstawowym zamierzeniem wyprawy było przejście od wschodniej do zachodniej granicy miasta. Jednak z powodów uniknięcia ewentualnych problemów Koło Turystyczne odbywało też jednocześnie trening sportowy, przygotowujący do zdobycia Korony Europy, oraz zawody terenowe w rozpoznawaniu najciekawszych miejsc na mapie świata. Starannie zaplanowana zimowa wyprawa przewidywała około dwudziestokilometrowy marsz w mroźnych warunkach, oczywiście z odpowiednio dobranym sprzętem i silną determinacją.

Już osiem dni później, w sobotę 20 lutego 2021 roku, razem z 27 innymi śmiałkami zebraliśmy się przy przystanku kolejowym Poznań Antoninek, by rozpocząć walkę z żywiołem. Pogoda była wyjątkowo niesprzyjająca: siedem stopni na plusie i słońce! Niestety, mimo moich nadziei na śnieżne przejście, czekany i raki czekające w gotowości już od dnia zdobycia Korony Poznania przez poprzednie pokolenie zdobywców z KT – na nic się nie zdały.

Grupa ruszyła z wielkim zapałem. Zatrzymana tylko na chwilę przez potok samochodów, szybko rozprawiła się z pierwszym etapem trasy, dochodząc do ścieżki w koronach drzew – jednej z nowszych atrakcji w granicach Poznania. Prawdziwa Orla Perć Wielkopolski była tuż przed nami. Jednokierunkowy szlak z ekspozycją i (na oko) 15-metrową przepaścią po obu stronach. Mimo doświadczenia z tego typu szlakami, pierwszy krok był niepewny, lecz potem poszło już gładko. Z górki stoczyliśmy się dalej prosto w okolice Term Maltańskich, gdzie odbyła się krótka przerwa.

Tutaj trasa zdecydowanie się uspokoiła, były nawet szanse na upolowanie czegoś na obiad, gdyż przechodząc przez park Tysiąclecia, dostrzegłem dziką zwierzynę. Grupa entuzjastów była nawet gotowa na upolowanie biednej sarny, jednak względy humanitarne, a może bardziej brak skutecznej broni szybko zniechęciły do podejmowania łowieckiej próby. Dość ciekawym widokiem uraczyło nas Jezioro Maltańskie, które obecnie ciężko nazwać jeziorem. Wyglądające jak rozległe azjatyckie stepy dno, skrywające wiele tajemnic, monet, telefonów i sprzętu AGD, było odkryte, a teraz na dodatek stało się świadkiem kolejnych historycznych dokonań Koła.



Przechodząc podziemnym systemem pod rondem Starołęka, dostaliśmy się w okolice katedry. Nie myśląc długo, po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia ruszyliśmy zdobywać szczyty. Trasa trawersu przebiega przez Wzgórze św. Wojciecha (73 m n.p.m.), znajdujące się w Koronie Poznania. Inaczej niż zdobywcy sprzed paru lat, tym razem wybraliśmy wariant południowy podejścia szczytowego, co okazało się dobrą decyzją. Masyw został pokonany sprawnie. W pewne zastanowienie wprawily część grupy drzwi znajdujące się w pomniku Armii Poznań. Co mogło się za nimi kryć? Taśma produkcyjna czipów? Tunel z rynku na Cytadelę? A może to jednak w stolicy Wielkopolski znajduje się złoty pociąg (do torów było niedaleko). Pozostanie to jednak tajemnicą.

Po pokonaniu najwyższego szczytu udaliśmy się w stronę parku Wodziczki, który należy do poznańskiego klina zieleni. Ten na pierwszy rzut oka spokojny teren, którego ciszę zakłócają jedynie przejeżdżające estakadą PST tramwaje, od paru lat jest areną batalii. Dość agresywna działalność dewelopersko-budowlana zwróciła uwagę miejskich aktywistów, którzy sprzeciwiają się stawianiu kolejnych betonowych bloków wcinających się w dolinę Bogdanki (trzeba przyznać, że szare „klocki” z oknami nie wyglądają zbyt dobrze w otoczeniu sołackich willi). Dlatego można tu zaobserwować wiele śladów walki z deweloperami: napisy z hasłami sprzeciwu, pomalowane sprayem ściany, nekrologi drzew czy efekty obrony samej natury, która siłą wód podziemnych zalewa piwnice nowo wybudowanych domów. Nie zmieni to już raczej „betonowego” Sołacza z powrotem w „zielony” (jak jest reklamowany dla nabywców nowych mieszkań).



Wielki Zimowy Trawers Poznania — przebieg trasy

Podążając dalej wzdłuż rzeki Bogdanki, minęliśmy Park Sołacki i dotarliśmy do jeziora Rusalka. To sztuczne jezioro było jeszcze zamrożone, choć raczej nikt już by się nie pokusił o próbę przejścia po lodzie. Niezamrożone było natomiast błoto, w które można było zapaść się po kostki (szczególnie współczuję osobom, które miały jasne buty). Takie błotne ścieżki towarzyszyły nam już aż do Krzyżowników. To właśnie tam, gdzie z perspektywy Poznania zaczyna się Jezioro Kierskie, nasza wyprawa się zakończyła. Przejście Wielkiego Zimowego Trawersu Poznania stało się faktem!

tekst: **Igor Stryniak**
zdjęcia: **kronika KT**

Pismo „RozJazdy”

kwartalnik / nr 3 / styczeń – marzec 2021

Wydawca: Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego
i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu

Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski

Redaktor naczelny: Igor Stryniak

Fotoedycja: Matylda Deckert

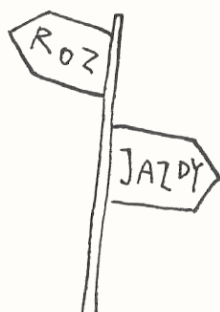
Grafika: Milena Podlas i Helena Olachowska

Korekta: Weronika Dolata

Promocja: Wojciech Pruss



A znaleźć nas można również
na Instagramie
oraz Facebooku.



Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,
mamy nadzieję, że ten numer „RozJazdów” okazał się pożyteczny,
interesujący czy po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś go
współtworzyć i dołączyć do naszego zespołu, to serdecznie
zapraszamy do kontaktu pod adresem: rozjazdy@9lopoznan.pl